

# Dlaczego żołnierze nie popełniają zbrodni?

18 stycznia 2015

Politycy, biznesmeni, szarzy obywatele – oni mogą być podłymi rzezimieszkami. Nigdy jednak nie przydarzy się to żołnierzom. Przynajmniej na to wskazują rozpowszechnione mity...

Przeciętny obywatel może bezkarnie, znajdując przychylny posłuch, wypowiadać wszelkie uogólniające (a więc *ex definitione* bzdurne) poglądy o najróżniejszych kategoriach zawodowych czy społecznych. Bankierzy będą to oszuści i krwio pijcy, adwokaci – amoralne papugi, policjanci – gliniarze i psy, chłopci – chamy, politycy – skorumpowani spryciarze walczący o stołki, szewcy – nie zrównoważeni pijacy, księża – zdziercy i pedofile... Jedną jest tylko kategoria, która umyka wszelkim oskarżeniom, od której złemu językowi precz: – nasze, narodowe wojsko. Nasz zsakralizowany żołnierz, wcielenie narodowego ducha, jest i musi pozostać poza jakimikolwiek rozliczeniami, oskarżeniami i kpinami. Musi, choćby rejterował, przegrywał i wszelką wykazał nieudolność, pozostać czysty, niezłomny i szlachetny. Nasz żołnierz (rycerz, powstaniec) nie zdradza, nie dezertuje, nie tchórzy, nie gwałci, nie łupi, chyba że w jakichś zupełnie marginalnych, a więc niegodnych wspomnienia przypadkach. Dlatego też w razie klęski i sromoty odnaleźć trzeba winnych spoza szeregów tej szarej piechoty, przed którą „drzewa salutują”, i tych ułanów, którzy „przybyli pod okienko”.

Pierwszym nasuwającym się od razu i pasującym do każdej martyrologicznej okazji usprawiedliwieniem jest głupota, zła wola, albo i szaleństwo polityków. Zupełnie, jak gdyby owi politycy nie mieli niczego wspólnego ze społeczeństwem, a wojskiem w szczególności, żyli wyizolowani w wieży z kości słoniowej, do której nie dociera wrzask przekupniów i twardy odgłos komend. W historiozofii polskiej taki argument pada

najczęściej. Niczym nudną mantrę powtarzają nasi dziejopisowie i literaci, że: błędy (a nawet zbrodnie) i nieodpowiedzialność polityków nie mogą kłaść się cieniem na bohaterstwie żołnierzy, którzy swoją krwią użyźnili, uświęcili – naliczyłem w samych wojskowych piosenkach kilkanaście pożytków z ich krwi przelanej... Niemal wszystkie opracowania dotyczące na przykład powstania warszawskiego 1944 roku zawierają obowiązkowo ten refren. Nawet Zenon Kliszko, „Ludwik”, uczestnik walk na Żoliborzu i ortodoksyjny komunista, potępiający skrajnie surowo decyzję o nakazaniu rozpoczęcia walk w Warszawie, nie oddalił się od tego schematu. Odbierając w 1959 roku Krzyż Grunwaldu za „zasługi w boju przeciw hitlerowskiemu najeźdźcy” (czyli za powstanie – w innych operacjach militarnych nie brał udziału), co mu się skądinąd uczciwie należało, oświadczył, że chłopcy z barykad zostali podług niego oszukani, wykorzystani w złych i nieodpowiedzialnych celach, ale ich nieskazitelnego bohaterstwa i dobrych intencji niemożna podawać w wątpliwość... dalszy ciąg już znamy.

Wolno i dzisiaj dyskutować o racjach polityków czy dowódców wojskowych podejmujących decyzję o wybuchu powstania. Dozwolone jest wypowiadanie nawet najcięższych oskarżeń (za zbrodnię uznał ją generał Władysław Anders, bohater spod Monte Cassino). Ale od żołnierzy wara! Ogromne emocje, i słusznie, wzbudziły w ostatnich latach dowody, że niektóre oddziały powstańcze dopuściły się morderstw na cudem ocalałych Żydach. Nie chodziło jednak o potępienie winnych, ale ośmielających się przypominać o winie. Chociaż w przypadku zgrupowania AK „Chrobry” jest to udowodnione ponad wszelką wątpliwość, polska Klio – muza narodowej, żołnierskiej historii o niczym takim nie chce i w gruncie rzeczy nie może pamiętać. Epos rycerski, taka jest jego funkcja, struktura i istota, nie stawia bowiem pytań o samosądy nad oskarżanymi o szpiegostwo na pierwszy rzut oka, zeznanie nienawistnej sąsiadki lub całkowitego widzimisię. Nic nie wie o uciekających z barykad, o odbierających pod grozą karabinu ostatni kęs chleba umierającej z głodu ludności cywilnej... Hagiografia powstania

warszawskiego mija się tu już nie tylko z faktami i świadectwami, ale także z najprostszym, elementarnym rachunkiem prawdopodobieństwa. Chęć przywrócenia proporcji pozostanie jednak wołaniem na puszczy, gdyż mit jest niepodzielny. Zanegowanie jednego z jego elementów prowadzi nieuchronnie do niedopuszczalnego zakwestionowania całości.

Nie dotyczy to oczywiście w jakikolwiek szczególny sposób samego powstania warszawskiego, w tym przypadku wyjście poza kanony moralne zdarzało się być może marginalnie. Przykład ten przychodzi na myśl w odpowiedzi na patos hagiografii serwowanej z okazji każdej rocznicy polskiemu społeczeństwu. Pospieszmy więc z przykładami innymi.

Młode pokolenia społeczeństwa niemieckiego po drugiej wojnie światowej w ogromnej większości z wielką pokorą moralną przyjęły świadomość ogromu zbrodni popełnionych przez hitleryzm w Europie i dokonały głęboko idącego ich rozliczenia. Nie wiem, czy taka książka, jak Niklasa Franka (Mój ojciec Hans Frank, Warszawa 1991) mogłaby się ukazać w innym kraju oskarżanym o zbrodnie wojenne, ludobójstwo czy „czystki etniczne”. Wszelako w tym wielkimi szlachetnym, narodowym rachunku sumienia pozostaje dziwna luka. Zbrodnie popełniało SS, Gestapo, członkowie NSDAP, ogłupiali kibice reżymu, wszelkiego rodzaju fanatycy, nawet nadgorliwi urzędnicy. ale nie nasi prości żołnierze, nie Wehrmacht. Nawet tak radykalnie rozliczający się z przeszłością autor, jak Richard Grunberger („Historia społeczna Trzeciej Rzeszy”, Warszawa 1994) pisze:

„Pewien wpływ na zachowanie wojskowych miało też miejsce, w którym przebywali; postępowanie armii okupacyjnych było z reguły lepsze na Zachodzie niż na terenach zamieszkałych przez Słowian, chociaż i na wschodzie pośród ogólnego rozwydrzenia obowiązywał w jakiejś mierze wojskowy kodeks etyczny. Obok prywatnego i urzędowego plądrowania rosyjskich zasobów przeprowadzano też normalne transakcje, w ramach których niemieccy żołnierze sumiennie płacili rosyjskim chłopom żadaną

cenę za kurczaki lub mleko. Żołnierzy, którzy dopuścili się gwałtu, kierowano pod sąd wojenny (choć przewidzianą za to karę śmierci zamieniano zawsze na łagodniejszą; niekiedy było to przeniesienie do batalionu karnego) – jednocześnie zaś stworzone przez hitlerowców głodowe warunki życia zmuszały kobiety z krajów okupowanych do sprzedawania się za kawałek chleba, a niektóre burdele Wehrmachtu tworzone z kobiet przymusowo wywiezionych do Niemiec oraz z Żydówek.”

Dziwne jest zaiste w tym tekście materii pomieszanie. Czy fakt, że żołnierze gwałcili w burdelach przymusowo tam dostarczone kobiety, w przeciwieństwie do gwałtów samowolnych ma świadczyć o „kodeksie etycznym”? A może wręcz odwrotnie – o tym, że armia wolała i organizowała gwałt pod kontrolą, zabraniając po prostu indywidualnych kontaktów ze słowiańskimi samicami, które zawsze mogły przynieść niespodziewane skutki (a nuż zmiękczy taka i osłabi waleczność rycerza), świadczy tylko gorzej o mechanizmach instytucji? ale i to jeszcze tylko połowa prawdy. W doskonale udokumentowanej pracy historyka Gerda Mischlera i politologa Stefana Maiwalda („Seksualność w cieniu swastyki”, Warszawa 2003) czytamy:

„Podczas procesu norymberskiego akt oskarżenia objął również przestępstwa seksualne żołnierzy niemieckich w Rosji, lecz wkrótce zapadło milczenie w tej sprawie. Do dziś wypiera się ze świadomości fakt, że taka seksualna przemoc wobec kobiet stanowi jeden z aspektów niemieckiej winy wojennej.”

Badacze problemu (Brigit Beck, „Gewalt im Krieg”, Munster 1996; Till Bastian, „Furchtbare Soldaten. Deutsche Kriegsverbrechen im Zweiten Weltkrieg”, München 1997 czy Susan Brownmiller, „Gegen unseren Willen. Vergewaltigung Und Mannerherrschaft”, München 1993) ukazują dobitnie, że gwałcenie kobiet było przede wszystkim domeną regularnej armii, nie formacji SS, które bardziej obawiały się kar za wykorzystywanie kobiet „mniej wartościowych rasowo”, co bywało nieraz rzeczywiście drastyczne. O poczziwych kurczakach z rozważań Grunbergera nie warto nawet dyskutować, tym bardziej

wobec faktu masowości egzekucji wykonywanych bez sądu przez żołnierzy Wehrmachtu na ludności cywilnej w podbitych krajach (Serge Cosseron, „Les mensonges du III Reich”, Paris 2007), co zapoczątkowane zostało już w Wieluniu, w pierwszych dniach wojny z Polską, w 1939 roku, kiedy mowy być nie mogło o późniejszym „zdziczeniu przez wojnę” czy spowodowanej przez pył bitewny „utracie odruchów ludzkich”. Albowiem nasi chłopcy z Wehrmachtu – będzie to zawsze zupełnie inna sprawa niż totalitaryzm i zbrodnicze zachęty – nie mogą i nie będą ponosić żadnej zaakceptowanej przez społeczeństwo odpowiedzialności. W najgorszym przypadku urodzili się w złym miejscu i roku, niewinni, a tylko zdemoralizowani przez panujących właśnie w kraju polityków.

Corocznie w pierwsze majowe dni odbywają się w Rosji festyny ku czci weteranów wielkiej wojny ojczyźnianej. Anonimowa kobieta (i nie dziw, że nie chciała podać nazwiska) opisuje („Une femme a Berlin 20 avril – 22 juin 1945”, Paris 2002), co działo się w stolicy Niemiec po wejściu tam Armii Czerwonej. Ona sama, dobrze zorientowana, żeby uchronić inne mieszkanki kamienicy, zdecydowała się być zgwałcona przez gwiazdkowego rosyjskiego oficera, który w zamian za jej powolność i uległość odpędzał innych chutliwych pobratymców. Podług niepełnych danych, trudno w takim przypadku o inne, w samym Berlinie czerwonoarmiści zgwałcili co najmniej 170 000 kobiet (Maiwald i Mischler podają 110 000; Brownmiller – 200 000, w tym nieletnie i staruszki). Jest to fakt znany i uznany przez wszystkich historyków. „Niemieckie kobiety były gwałcone przez Rosjan, Polaków, Francuzów, Amerykanów, podczas ucieczek i wysiedleń także przez Czechów, Serbów i Słoweńców” (Helke Sander, Barbara Johr, „Befreie Und Befreite. Krieg, Vergewaltigungenm, Kinder”, München 1992). „W radzieckiej strefie okupacyjnej, na Pomorzu i w Prusach wschodnich, liczba gwałtów jest jeszcze większa. Ponieważ na terenie wsi nie ma możliwości ukrycia się, kobietom na terenach wiejskich i w trakcie ucieczki groziło większe niebezpieczeństwo niż w Berlinie” (Brigit Beck, „Gewalt...”).według socjolożki

wojskowości Ruth Seifert: „gwałt to skrajny akt przemocy, który posługuje się środkami seksualnymi (...). dlatego gwałt tkwi już w założeniu, w wewnętrznej strukturze każdej armii”. W konsekwencji nie zmienia się ani przez chwilę rosyjskie, polskie albo niemieckie czy czeskie spojrzenie na tamten czas. Podobne zdarzenia wykreślone zostały ze świadomości zbiorowej, chociaż nieprawdopodobne okrucieństwa dokonywane na mieszkańcach Prus Wschodnich nie były wcale wymysłem goebbelsowskiej propagandy. Tak jednak, jak w przypadku Wehrmachtu, zwycięscy, prości szeregowi żołnierze Armii Czerwonej, amerykańscy marines czy bojownicy ich sił sojuszniczych, zmuszeni pozostać bohaterami czystymi, nieskalanymi i służącymi za wzór patriotyzmu następnym pokoleniom, oficjalnie nie mieli z tym oczywiście nic wspólnego. Nawet tak wnikliwy historyk jak Gerd Mischler sugeruje, że po obu stronach było to infernum wynikiem przyzwolenia (zachęty?) polityków. W domyśle: gdyby politycy się nie wmieszali, wszystko byłoby inaczej, a po Berlinie, Kijowie, Frankfurcie, Smoleńsku przechadzałyby się, w czas wojny, nienagabywane przez żołdatów, spokojne swojego losu dziewice.

W innym nieco wymiarze taki sam obraz maluje polski wybitny historyk emigracyjny Józef Garliński – „Politycy i żołnierze” (Londyn 1972). Sam już tytuł mówi właściwie wszystko. Są źli politycy i dobrzy wojacy. oto po zrzuconiu na spadochronie z Londynu generał Leopold Okulicki (pseudonimy: „Kobra”, „Kobra 2”, „Kula”, „Mrówka”, „Niedźwiadek”) wzięty zostaje pod opiekę dowództwa AK.

„Wszystkie problemy codziennych ludzkich trosk – pisze Garliński – wszystkie kłopoty związane z trudnymi warunkami bytu, ze zdobywaniem żywności, z szukaniem konspiracyjnych lokali, z łącznością, z bezpieczeństwem, były odeń odsuwane i załatwiane taktownie, dyskretnie i niezwykle precyzyjnie. Tuż przed powstaniem, gdy wyłoniła się konieczność przygotowania drugiego rzutu Komendy Głównej na wypadek niepowodzenia i

dalszej konspiracji, generał Okulicki zgłosił gotowość przyjęcia trudnej funkcji nowego dowódcy (...). W konsekwencji wyłączyło to generała z powstańczych walk. Ukryty w małym pokoiku, pod troskliwą, ale stanowczą opieką „Janiny” [Janiny Pronaszko – L.S.], odcięty od miasta, krążył jak tygrys w klatce po wąziutkiej przestrzeni, gryzł palce i przeklinał cały świat i własne decyzje.”

Jedną z tych ostatnich było... oddanie decydującego może głosu za rozpoczęciem powstania.

Mógłby ktoś powiedzieć, że Józef Garliński zaprzecza swojej tytułowej dychotomii politycy – żołnierze. Nic takiego. Generalicja to także politycy. Do wysoko wyepoletowanych wolno się jeszcze historii dobierać. Wolno, a jeśli się nie da albo nie chce złożyć wszystkiego na barki polityków, nawet trzeba. Byle niczemu nie byli winni nasi bohaterzy, prości żołnierze. Przykładem takiego rozumowania świeci na przykład rewolucja francuska. Generał Charles François du Périer Dumouriez (skądinąd uczestnik polskiej konfederacji barskiej) odnosi, na czele wojsk rewolucyjnych, błyskotliwe zwycięstwa pod Valmy (20 września 1792) i Jemappes (6 listopada 1792). Zajmuje Belgię. Teoretycznie wszyscy rozumieją, że są to sukcesy ponad stan. Armia sankiulotów jest nieprzeszkolona, niedozbrojona, w większości bosa. Przykład takiego rozumienia daje Dumouriez – śle o tym raport za raportem do Paryża (Ludwik Filip, „Pamiętniki z czasów Wielkiej Rewolucji”, Warszawa 1988). Kiedy jednak ponosi porażkę pod Neerwinden (18 marca 1793), przed władzami staje wybór: albo uznać słabość i defetyzm przemęczonej armii, albo potępić dowództwo – uznanie własnych win nie wchodzi oczywiście w grę. Oskarżony o zdradę Dumouriez, w najzupełniej uzasadnionym strachu przed gilotyną, popełnia ją rzeczywiście i ucieka do obozu austriackiego. Tym samym potwierdza stawiane mu zarzuty. Od tej chwili każdy generał, który nie odnosi natychmiastowych sukcesów na polu walki, staje się potencjalnie podejrzany o działania przeciw ojczyźnie, błędy, a w najlepszym razie grzeszną nieudolność. W

grudniu 1793 roku pod zarzutem bojaźliwości i kunktatorstwa odwołany zostaje z frontu generał Louis Charles Antoine Desaix de Veygoux (późniejszy bohater bitwy pod Marengo), zaraz po nim François Severin Marceau. Ci jeszcze mają szczęście – kończy się na dymisjach. Już jednak pułkownik, hrabia Joseph Miączyński, aresztowany na Litwie, zapłaci głową za domniemany defetyzm i związki z Dumouriezem, które mieć musiał, będąc jego podwładnym (Jean-Pierre Bois, *Heros et proscrit Dumouriez*, Paris 2005). Po nim zgilotynowani zostają m.in. generał Jean-Baptiste Brunet, pułkownik Collier de la Marliere d'Avaine, generałowie: Adam-Philippe de Coustine, Armand Louis de Biron, Alexandre François Marie de Beauharnais, Jean-Nicolas Houchard. Przykład tego ostatniego jest może najbardziej typowy. 7 września 1793 roku odnosi on pod Hondschoote ważne zwycięstwo nad wojskami angielskimi. Jego żołnierze są jednak zdziesiątkowani, a przede wszystkim skrajnie przemęczeni i głodni, Odmawiają więc pościgu za pobitym przeciwnikiem bez zapewnienia im posiłku i chwili wytchnienia. Bez tego żadne rozkazy nie są w stanie ich zmusić do marszu. Zaopatrzenie jednak nie działa, a każda stracona chwila umożliwia Anglikom opanowanie paniki, zwarcie szyków i zorganizowany odwrót. Próżno Houchard błaga, grozi rozstrzeliwaniem opornych, obiecuje nagrody i awanse. Granica wytrzymałości jego ludzi została przekroczona. Nikt też nie chce nadstawiać głowy przed podzieleniem się łupami po tak pięknym zwycięstwie. Houchard jest bezsilny. Trybunał Rewolucyjny widzi to jednak inaczej: żołnierz francuski, narodowy, jest zawsze dzielny, patriotyczny i niezłomny. Nikt nie śmie mu postawić jakichkolwiek zarzutów. Jeżeli więc sukces nie został wykorzystany, czyja to wina? Głowa Houcharda spada do kosza przy pełnym poparciu i zrozumieniu opinii publicznej. Myliłby się, kto sprowadzałby ten sposób myślenia do miazmatów rewolucyjnego fanatyzmu. Sto pięćdziesiąt lat później generał Charles de Gaulle na emigracji w Londynie, po klęsce Francji w wojnie z Niemcami w roku 1940, będzie wygłaszał dokładnie takie same tezy: żołnierz nasz był ofiarny, nieprzekupny i dzielny. Za klęskę odpowiadają jedynie

nieudolni i kapitulanci dowódcy. de Gaulle wiedział oczywiście, że po wojnie 1914–1918 Republika była wykrwawiona, nastroje społeczne w ogromnej większości pacyfistyczne, żołnierz francuski 1940 roku bił się niechętnie i bez wiary w powodzenie, a zawieszenie broni przyjął z ulgą i wdzięcznością dla marszałka Pétaina. Czy więc jego deklaracje były tylko demagogią polityczno-propagandową? To też byłoby uproszczeniem. Sądzę, że podświadomie czcił także owo sacrum, jakim ma być narodowe wojsko. Wyznawał paradygmat, że jeśli nie zdaje ono egzaminu, to wina leży na zewnątrz (polityczna cywilbanda) lub ewentualnie spoczywa na barkach zdegenerowanej kasty oficerskiej, nigdy nie można nią jednak obciążać prostego poilu, który jest solą swojej ziemi i jej idealnym wcieleniem.

Pisze Geoffrey Regan: „Zadziwiająco dużo wypadków tchórzostwa wśród wyższych oficerów zanotowano podczas amerykańskiej wojny secesyjnej”. Jakże to charakterystyczne zdanie. Chęci zaniechania walki szukać należy nie pośród masy żołnierskiej, nawet nie na poziomie podoficerów i niższych rangą oficerów. Tchórzyła oczywiście tylko wierchuszka (skądinąd osobiście najmniej narażona na śmierć czy inne frontowe dolegliwości). Jako przykład przytacza obronę fortu Donelson w Tennessee. Już od paru dni perspektywa utrzymania umocnień przez konfederatów stała się tam całkowicie beznadziejna. Podobnie przebiecie się przez krąg unionistów w szalejącej śnieżycy. Wycieńczona załoga domaga się honorowej kapitulacji, inaczej grozi rewoltą. W tej beznadziejnej sytuacji generał Gideon Pillow decyduje się na ucieczkę z twierdzy i wywiezienie z niej wszystkich ważniejszych dokumentów oraz konfederackich pieniędzy. Dowództwo straconej twierdzy powierza generałowi Bucknerowi, który pod naciskiem załogi następnego dnia natychmiast się poddaje. Pisze Regan:

„Buckner poddał garnizon generałowi Grantowi [Generał Ulysses Simpson Grant, 1822–1885 – L.S.] bezwarunkowo. Był tym trochę poirytowany, ponieważ to on pomógł Grantowi wrócić w 1854 roku

do domu, pożyczając mu trochę pieniędzy, kiedy ten został bez grosza przy duszy.”

Jesteśmy tu na Evereście mitu „zdradzonego żołnierza”. To nie on rzucał broń na ziemię, a jeżeli nawet, to skłonili go do tego przełożeni w myśl swoich zakulisowych układów. Bardzo to cieniutka insynuacja: „Buckner był trochę poirytowany”, gdyż spodziewał się... – no właśnie, czego? Jaki ma to związek z ochoczą kapitulacją piętnastu tysięcy konfederatów? Ano taki tylko, że ich uniewinnia. Gdzieś na górze były spiski, pożyczone pieniądze... Żołnierz pozostaje nieskalany, kiedy tylko dowództwo tchórzy i zdradza.

Koronnym argumentem rewanżystów niemieckich po klęsce w 1918 roku była tak zwana teoria noża w plecy. Patriotyczny, germański wojownik chciał się nadal bić, przeszkodzili mu w tym jednak Żydzi oraz (tu parę wersji, w których Żydzi nie zawsze się mieszczą, ale wszystkie zgodne są z naszym schematem) albo lewicowo-liberalni politykierzy, albo kosmopolityczni intryganci na dworze cesarza Wilhelma II, albo zdemoralizowana i niepojmująca dążeń narodu skostniała, junkierska kasta oficerska. Hitler, przy całym antysemickim szaleństwie, był konsekwentnie wyznawcą ostatniej z tych tez. Już w przemówieniu z 1 września 1939 roku uzasadniającym agresję na Polskę mówił („Wielkie mowy historii”, t. 3, Warszawa 2006):

„Gdy powołałem te siły zbrojne i gdy żądam od niemieckiego narodu ofiar, a gdyby to było konieczne, najwyższej ofiary, to mam ku temu prawo. Albowiem ja sam jestem dziś tak samo gotów, jak i byłem wcześniej do poniesienia każdej osobistej ofiary (...). Nie może być w Niemczech niedostatków, których ja bym również nie doświadczył. Teraz nie pragnę być nikim innym, jak pierwszym żołnierzem Rzeszy Niemieckiej. Tym samym znowu włożyłem ten żołnierski mundur, który był dla mnie kiedyś najświętszy i najdroższy.”

Wypowiedzi polityków czyta się w niuansach i między wierszami.

Hitler tutaj, już w 1939 roku, prawi o armii, którą sam stworzył, a więc nie o istniejących za zgodą traktatu wersalskiego ograniczonych siłach Wehrmachtu będących przechowalnią kadry oficerskiej sprzed 1918 roku. Łącząc niedostatki z „najświętszym mundurem”, który wkładał ongiś, odwołuje się do mitu sponiewieranych szeregowców i podoficerów. Wielka szkoda, że zarozumiała generalicja III Rzeszy nie umiała tego zrozumieć. Hitler, od początku zanurzony w micie, był jej potencjalnym nieubłagany wrogiem. W przypadku klęsk, za które odpowiedzialności ex definitione nie ponosi bohaterski żołnierz, a tym razem również nie cywil-banda, bo to przecież aparat partyjny NSDAP, wskazanie winnych było oczywistością. Jest rzeczą ciekawą, że nie zainteresował historyków fakt, iż proklamując się naczelnym wodzem, nie nadał sobie Hitler żadnego (sic!) odpowiedniego stopnia wojskowego. Stalin mianował się generalissimusem, podobnie Franco, Piłsudski marszałkiem, Tito marszałkiem również – za każdym razem zapowiadało to ich działania w triadzie: słuszny i patriotyczny korpus armii – kadra oficerska – politykierzy.

Na pomoc tej koncepcji wojny i świata pospieszyła literatura. W Trylogii Henryka Sienkiewicza tchórzy pospolite ruszenie, zdradzają dowódcy, zawodowy żołnierz pozostaje jednak bez skazy. dotyczy to nawet, co u tak endeckiego i antypruskiego autora wydawałoby się sprzeniewierzeniem, wojsk niemieckich. Oto opis starcia na Dnieprze (1648) między Kozakami i niemieckimi najemnikami wzywany do kapitulacji („Ogniem i mieczem”):

„Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza. Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczковского, ale na czele regimentu pozostał Johan Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny (...). Werner z obnażoną szpadą w ręku stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo. Na koniec podniósł głowę. – Herr Hauptmann! – rzekł – zgadzamy się (...).

Ale pod warunkiem (...). Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. inaczej nikt by nas nie najmował.”

Rozwścieczony Krzeczkowski daje ostatnie ultimatum: „Nim słońce zejdzie z łachy, namyślcie się, po czym każę cyngłów ruszać”. „Słońce zaszło! Czy już namyśliliście się? – Już – odparł Werner i zwróciwszy się ku żołnierzom machnął obnażoną szpadą. – Feuer! – skomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.”

Henryk Sienkiewicz wiedział oczywiście, że najemnicy z wojny trzydziestoletniej byli przeważnie niezdyscyplinowanym, krwiożerczym żołdactwem, szukającym wyłącznie łupów i kobiecych ciał do zgwałcenia, najodleglejszym od składania życia na dniewowych Termopilach. A jednak i on uznał, iż gloryfikując w tym przypadku Niemców, co musiało być dlań ciężkie do strawienia, stawia czoło temu, czego zaakceptować mit nie zezwala – podania w wątpliwość zaangażowania szeregowca, piękna szabelki i rozmarynów, które właśnie się rozwijają zgodnie z kalendarzową dyscypliną.

Pisarstwo Stefana Żeromskiego jest konsekwentnie antywojenne. „Charitas” jest tego może najpełniejszym manifestem. Wszyscy oficerowie opisani są tutaj, najogólniej mówiąc, w nieciekawy sposób. Co innego jednak, gdy chodzi o prostego szeregowca. Ten z nędzy walki wzbija się na wyżyny świętości nieomal. Oto pan Witold Granowski (sądzony później na podstawie fałszywych oskarżeń kapitana Śnicy i skazany na śmierć przez „oficera wygolonego i wyświeżonego, czystego i przesadnie eleganckiego, z twarzą świadczącą o semickim pochodzeniu”) przeczekuje przechodzący front w piwnicy swojego zrujnowanego dworu. Nagle

„ktoś zasłonił blask dzienny padający z wejściowego otworu. W tym otworze stanął Moskał ogromnego wzrostu. Na połuszu z długowłosej skóry baraniej miał narzucony szynel koloru rozoranej ziemi. Jedną połą tego obszernego płaszcza okręcił swą lewą rękę, a na tej ręce cości piastował. Kędzierzawa

główka dziecięca wyglądała spod szerokiego kołnierza szyneli. Czarne, śliczne żywe oczy wpatrywały się w ciemniejącą głąb pieczary. Sołdat zniżył głowę, żeby nią nie uderzyć o sklepienie, i postąpił kilka kroków naprzód. Stał pośrodku pierwszego lochu, rozglądał się około długo i pilnie i zawołał nareszcie w swoim moskiewskim języku:

– Ej, wy! Ludzie!

Nikt mu nie odpowiedział.

– Ej, wy! kto tu między wami starszy?

Pan Granowski z niechęcią podźwignął się z ziemi, usiadł i spytał:

– No, a co tam?

– Tyś tu starszy? – dopytywał się sołdafone.

– Ja nie starszy, ale barin z tego spalonego dworu.

– Dobrze! Słuchaj barin! Oto dziewczynka.

– Cóż to za dziewczynka?

– Nie wiem ja tego. Znalazłem ją i niosę na rękach. Trzy tygodnie ją niosę. Dalej już nie mogę, bo zabronili. Starsi zabronili. Tu ją kapitan kazał zostawić. Ludzie jacyś przyszli do ognia, powiadają, że inni siedzą w ziemiance. No, to przyszedłem. Bierzcie dziecko! (...)

– A gdzieżeś ty ją napotkał?

– Ona mnie napotkała. Przyszła do naszych rowów starych, już opuszczonych, bo wojska pobiły Stryjaków i szły naprzód. Mnie samego władza zostawiła porządku pilnować. Rano rowy obchodzę, porządku pilnuję, patrzę, leży w rowie dziecko małe, samo. Jadło zgniłe badyle kartoflane, liście buraków w polu zbutwiałe, pokrzywę zwiedłą z rowów przy drodze. Patrzę ja zza przykopy, aż ziemię czarną rączką zgarnia, do ust pcha i je,

ziemię czarną rączką, rozumiesz? Syroju ziemlicu ruczkoj skriebiot, w rotik sujot, da jest, ruczkoj, słysz, ziemlicu syroju, barin. Ponimajesz?

– Cóż mnie tak rozpytujesz, czy rozumiem? Rozumiem.

– Ale ty dobrze słuchaj! Pełne usteczka miała...

– I cóż? Wziąłeś ją?

– Wziąłem, panie. Jak było nie wziąć? Malutka taka... Patrz. Ledwie tyła... Nóżeczki – jakie to! Widzisz? Malutkie! Pięć lat. Nie więcej. Prawda?

– Czy ja wiem? Pewnie że nie więcej.

– Panienka, barczonoczka taka, rozumiesz? Czyściutka taka! A wychudła, wychudła...

– Przecież jej dałeś jeść.

– Jak było nie dać? Dałem. W pochodzie idziemy. Ja teraz przy trenach. idziemy dniami, nocmi. a to u mnie na ręku, pod szynelą śpi. Chleb spożywamy i zupę z jednej miski. We śnie płacze u mnie na ręku –mama, mama! Boże miłosierny, zmiłuj się... Żal!"

Ten wątek opieki żołnierza nad sierotami doczekał się nawet instytucjonalizacji. W Polsce Ludowej nazywano je „dziećmi pułku” i podług generała Kuropieski ocaliła armia polska (ta „polskojęzyczna”, „czerwona”) co najmniej tysiąc – nie udało mi się dotrzeć do liczb oficjalnych – skazanych inaczej na śmierć nieletnich. Między innymi znanego aktora kabaretowego i piosenkarza, który dzisiaj swoich wybawicieli co siłą opluwa. Mniejsza jednak o taką niewdzięczność. Podobne działania, na wręcz przekraczającą możliwości skalę, podejmowała z bezprzykładną ofiarnością również armia Andersa – opieką nad sierotami wsławiła się Hanka Ordonówna-Tyszkiewicz. Zbliżone instytucje istniały też podczas drugiej wojny światowej w armii amerykańskiej i angielskiej, aczkolwiek w tej ostatniej

starannie się przyglądano, czy dziecię godne jest wejść do grona obywateli dumnego Albionu. Specjalne komórki zajmujące się losem sierot wojennych odnajdujemy także w armii tureckiej czy japońskiej. Oto jak pochyła się wojsko nad ofiarami dziejowych zamieci.

Największą jednak wojskową wartością jest, jak już wspominałem, „męska przyjaźń” – ta prawdziwa, niezłomna, na śmierć i życie. James Jones opatruje Cienką czerwoną linię szyderczą dedykacją:

„Książkę niniejszą dedykuję z radością tym najwspanialszymi najbardziej heroicznym ze wszystkich ludzkich przedsięwzięć, WOJNIE I WOJOWANIU; oby nigdy nie przestały dawać nam przyjemności, podniecenia i adrenalinowych bodźców, których potrzebujemy, ani dostarczać nam bohaterów, prezydentów i przywódców, a także pomników i muzeów, które im wznosimy w imię POKOJU.”

Chciałoby się powiedzieć, istna antymilitarystyczna, ironiczna diatryba. Przewracając strony powieści, dowiadujemy się jednak o więziach, które połączyły bohaterów w wojsku, jakże silniejszych od istniejących w życiu cywilnym.

Irena Krzywicka zapewniała mnie, że literatura Ericha Marii Remarque’a to summum pacyfistycznego protestu. Atoli w sztandarowym Na Zachodzie bez zmian czytamy: „Do tego nadajemy się w sam raz. – Kat, Albert, Mueller, Tjaden, Leer, Detering, cała nasza sitwa jest tutaj...”. Tylko w wojsku można stworzyć takie kombo. Niemal wszyscy bohaterowie Ericha Marii Remarque’a czerpią swoje przyjaźnie i umiejętności z okopów. Nawet w Trzech towarzyszach, gdzie niby mowa o innych czasach, dowiadujemy się zupełnie mimochodem, że braterska więź między Robertem Lohkampem, Otto Kösterem i Gotfrydem Lenzem też wywodzi się z wojska:

„– Dobra nasza! – Lenz zsunął kapelusz na tył głowy i rzekł do Patrycji Hollmann: – teraz wygram dla pani całą wyprawę.

Cisnął kółkiem i wygrał budzik. Za nim ruszyłem ja i zdobyłem pluszowego niedźwiadka. Właściciel budy wręczył nam obie nagrody, robiąc przy tym dużo szumu, aby zwabić więcej gości.

– Poczekaj, odechce ci się reklamy, kochasiu! – mruknął Gotfryd i wygrał patelnię. Ja znów drugiego niedźwiadka.

– No, no, ależ szczęście... – zauważył właściciel budy wręczając nam nagrody. Pocziwina nie wiedział, z kim ma do czynienia. Lenz był mistrzem kompanii w rzucaniu granatem, a w zimie, gdy nie było nic lepszego do roboty, ćwiczyliśmy się całymi miesiącami w ciskaniu kapeluszy na wszelkie możliwe kółki. W porównaniu z tym gumowe kółka były dziecinną zabawką.”

Oczywiście wszystkie zdobyte fanty rozdają ewangelicznie trzej towarzysze ubogim świadkom ich cyrkowych wyczynów.

Powstaje jednak paradoksalne pytanie, któremu pacyfiści Remarque czy Żeromski, ani nawet Sienkiewicz, nie próbowali nawet stawić czoła. Czy mogliby opiewać to wojskowe męstwo, owo wojskowe miłosierdzie, te wspaniałe związki wojskowej, samczej przyjaźni, gdyby nie wojna?

Wojsko bez wojny jest defiladową operetką. Pole dla wykazania cnót otwiera się dopiero, kiedy ty ryzykujesz życiem, a trup dookoła pada gęsto. Wtedy dopiero rodzą się wielkie uczucia, powstają męstwo, oddanie i wierność. Inaczej mdła to historia i opowiadać jej zgoła nie warto. Wbrew swoim najlepszym intencjom Remarque, wiążąc mit przyjaźni i wierności z doświadczeniem wojennym, nadaje temu ostatniemu nostalgiczną wartość. W Trzech towarzyszach znalazłem jedenaście takich sentymentalnych odniesień, wskazujących jednoznacznie, że bez pobytu w transzejach nie byłiby bohaterowie powieści tak solidarni i bliscy czytelnikowi. Cóż dopiero powiedzieć o Henryku Bödmerze i Georgu Krollu z Czarnego obelisku. Wydawnictwo Czytelnik napisało na okładce powieści: „Jest rok 1923 w Niemczech, apogeum szalejącej inflacji. Bohaterowie, których młodość upłynęła w okopach I wojny światowej, muszą

teraz walczyć dalej – o chleb, godność, przyjaźń. Ta głęboko ludzka książka wydaje się kwintesencją twórczości Remarque’a”. Zgoda. Problem w tym, skąd Henryk Bödmer czerpie siłę do owej walki o „chleb, godność i przyjaźń”? No przecież z tych strasznych, zaszczurzonych, zalanych błotem, nieludzkich okopów. Tam odnajdują bohaterowie pacyfistycznego Remarque’a swoje właściwe człowieczeństwo. Zapewne by zaprotestował, gdyby porównać go do także antywojennego (aż dotąd) poety Ernsta Blassa, który w 1914 roku porwany patriotycznym porywem pisał w dniach ofensywy niemieckiej:

„Takiej wiosny nigdy / Ponownie nie przeżyjemy na całym świecie.”

Autorstwo: Ludwik Stomma

Fragment książki pt. „Antropologia wojny”

Źródło: [Histmag.org](http://Histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)